Adres mój: Belgia, Ostenda, Rue de Flandre N° 3

Piątek, dn. 21 sierpnia [1874]

Jeszcze onegdaj przybyłem rankiem do Ostendy, ale umyślnie trochę zwlokłem pisanie listu, raz dla zebrania większej liczby wrażeń, a po wtóre dla zaprowadzenia między nimi większego ładu.

Wyjechałem z Kolonii we wtorek wieczór. Dopiero na dworcu kolei dowiedzieliśmy się z moim towarzyszem, że wypada nam się rozłączyć nie w Verviers, jak myśleliśmy początkowo, ale natychmiast. Całą noc byłem w drodze i po największej części spałem, a spałem tym wygodniej, żem jechał pierwszą klasą, bo z Kolonii inna nie idzie. W ten sposób przespałem Akwizgran i obudziłem się dopiero na granicy Belgii w Verviers, gdzie jest rewizja rzeczy. Tu dopiero pierwszy raz od czasu wyjazdu ze Skierniewic, a raczej z Polski, usłyszałem język francuski. Wydostałem się więc już z Niemiec! Ucieszyło mnie to tak, jakbym się dostał między swoich. Przez jakiś czas nie spałem, ale wyglądałem oknem, chcąc choć cokolwiek dojrzeć, jak wygląda kraj, do którego wjechałem.

Noc była pochmurna i ciemna; drobny deszczyk mżył od czasu mego wyjazdu z Kolonii i przejmował wilgocią odzież i włosy. W ogóle niewiele mogłem dojrzeć, a miasto i wsie uciekały po obu stronach drogi prawie niedostrzeżone. Co chwila tylko na ciemnym i chmurnym tle nocy rysowały się buchające dymem i skrami kominy fabryczne, których tu taka mnogość, jak u nas sosen w borach – i wielkie piece hut czy giserni, dzień i noc rozpalone do białości. Piece te, zwłaszcza w nocy, przedstawiają wspaniały widok. Krwawe blaski płomieni, huk młotów, zgrzyt żelaza i łoskot wszelkiego rodzaju machin parowych, sylwetki ludzkie, czerwono oświetlone, kręcące się z jakimś gorączkowym pośpiechem na wszystkie strony – słupy iskier, kłęby dymu, szczególniejszy jakiś zapach węgla i saletry, który przejmuje w tych okolicach całą atmosferę, wszystko to ma w sobie coś chaotycznego, dzikiego, ale i wspaniałego zarazem. Mimo woli przychodzą na myśl majestatyczne, choć pełne grozy, obrazy piekła Danta. – Ale oto po chwili wszystko się zmienia: ciemno, ponuro, duszno jakoś – oto pociąg przebiega tunel między Pepinster i Nessouvaux. Tunelów takich – i większych, i mniejszych – pełno tu przez całą drogę, a czasem nawet przechodzą przez tak małe wyniosłości, że trudno sobie zdać sprawę, dlaczego je budowano.

Z Verviers po dwóch godzinach przybyłem do Liège, ale ciemność nie pozwoliła mi dojrzeć miasta; zresztą i pociąg, w którym jechałem, nie zatrzymywał się nigdzie długo. – Byłem bardzo zmęczony i wkrótce sen mnie zmorzył na nowo; rozbudziłem się jednak jeszcze przed świtem, na godzinę drogi przed Brukselą. Była to chwila pierwszego brzasku. Lampy w wagonach pobladły już cokolwiek; spojrzałem po twarzach moich towarzyszów; spali wszyscy

w najrozmaitszych pozycjach, prócz jakiegoś Anglika, który najspokojniej spoglądał na mnie, a raczej na mój łokieć, przez binokle. Nie rozumiałem z początku, co mógł ciekawego upatrzyć w moim łokciu – wkrótce jednak przekonałem się, że łokieć ów spoczywał na jego filcowym kapeluszu, który w czasie snu spadł mu z głowy. Przeprosiłem go najmocniej, na co Anglik oświadczył, że nic nie szkodzi i że nie chciał mnie budzić dla takiej bagateli. – Przykro mi było, bo bagatela ta była tak pognieciona, że, gdy ją włożył na głowę, wyglądał (jak to u nas mówią) – jak nieboskie stworzenie. Ale z tego powodu zawiązała się między nami pogawędka. Bóg jeden wie, jak mogliśmy się zrozumieć, bo Anglik umiał ze trzy słowa po niemiecku, ze trzy po francusku, a zresztą tylko po angielsku. Utworzyliśmy więc piękną mieszaninę wszystkich języków na świecie z dodatkiem migów, którymi ratowaliśmy się w razie potrzeby. – W ostateczności wpadłem jeszcze na łacinę – Anglik nie umie – prócz kilku słów – i po łacinie. Zresztą, choć sili się na francuski, to tak wymownie, że nie rozumiem ani słowa. Zacząłem się śmiać, a on także.

Tymczasem przybyliśmy do Brukseli. Była godzina piąta rano (według warszawskiego południka czwarta), dzień bielał już na dobre i wszystkie przedmioty można było widzieć niewyraźnie. – W Brukseli następuje zmiana pociągów i ze dwie godziny odpoczynku, a że pociąg zatrzymuje się prawie w środku miasta, Anglik więc zaproponował mi, żebyśmy poszli je zwiedzić. Na ulicach pusto było jeszcze zupełnie, miasto spało; tu i owdzie tylko turkotały wozy, przeznaczone do wywożenia śmieci z ulic, a zaprzężone w ogromne flamandzkie konie. – Miasto schludne, wesołe, w niektórych nawet miejscach, mianowicie na placu Leopolda, piękne – ale zresztą nieprzedstawiające nic szczególnego i bez przedmieść o połowę przynajmniej od Warszawy mniejsze. – Najpiękniejszą rzeczą jest park, położony w samym środku, a pełen ogromnych drzew nieznanego mi gatunku. Pałac królewski za to niewiele piękniejszy niż u nas dom Kronenberga. Jest tu podobno wspaniały ogród zoologiczny, ale nie był jeszcze otwarty, a zresztą leży daleko za miastem. Z tym wszystkim ten powierzchowny przegląd Brukseli tyle nam zajął czasu, że tylko co nie spóźniliśmy się na pociąg.

Wyjechaliśmy koło siódmej. Przez drogę przyglądałem się okolicy. Bogato wszędzie, ludno wszędzie, znać, że kwitnie przemysł i handel, znać dostatek. – Kraj cały wygląda literalnie jak najstaranniej uprawny ogród. Jak okiem dojrzeć, rozciąga się bujna płaszczyzna, a na niej tysiące wiosek, miast, miasteczek, fabryk i pieców hutniczych. – Między szeregami drzew i całymi lasami chmielników żółcieją tu i owdzie niewielkie łany zboża – po części pszenicy, jęczmienia, owsa. – Z tym wszystkim ziemia nie tylko nie żyźniejsza niż u nas, ale nawet mniej żyzna. Znać prawdę powiedział Klonowicz:

Że Polska cała na żyznym zagonie

Usiadła, jakby u Boga na łonie.

Czyli, inaczej mówiąc, takiej błogosławionej ziemi, jak nasza, nie ma prawie nigdzie i gdyby tylko pracy przyłożyć, gdyby skrzętności więcej i wytrwania – zmienilibyśmy nasze pola na bujniejsze jeszcze ogrody.

Ogólny widok kraju nie różni się wielce od stron naszych. Równina i równina, pofalowana lekko, jak np. u nas koło Rawy – ot i wszystko. Kanały dosyć częste, ale w ogóle wód niewiele. Krajobraz mniej nawet piękny od naszego, bo mniej naturalny i zakopcony wiecznie dymem. Klimat za to o wiele łagodniejszy, to jest nie masz tu ani takich upałów w lecie, ani mrozów w zimie. Jest to klimat morski, słońce świeci, pogoda; zdaje się, powinien być upał, a tymczasem łagodne, można rzec niewypowiedzianie słodkie tchnienie wiatru łagodzi znojne gorąco, odświeża powietrze i napełnia piersi prawdziwą rozkoszą. – Taki jest ogólny widok Belgii, widziany przez okna wagonu.

O dziewiątej byłem już w Ostendzie. Pytam portiera o list do mnie, w którym Naimski miał mi dać adres mieszkania – nie ma! Co tu robić? Nie ma innej rady, jak jechać do hotelu. Jakoż i tak zrobiłem, stanąłem niedaleko morza, Hôtel St Denis, rue de la Chapelle. Dano mi pokoik na drugim piętrze, mający bez przesady dwa kroki wzdłuż i dwa wszerz. Umyłem się, bo przyjechałem tak zakopcony jak kominiarz, przebrałem się i dalej do morza!

Już niedaleko grobli, która widok na morze zasłania, słychać poważny i majestatyczny szum bałwanów. Serce zabiło mi żywiej, bo z wagonu nie można dojrzeć morza, miałem je więc ujrzeć pierwszy raz w życiu. Wbiegłem co prędzej po schodach na dygę i… Nie zgadzam się z ciotką Pani, żeby to było rozczarowanie, którego się doznaje na widok tych obszarów wód – nie! Jest to wrażenie innego rodzaju. Morze względem człowieka jest nieskończonością i, jak każda nieskończoność, uciska umysł ludzki. Jest to coś, z czego na razie nie można sobie zdać sprawy, okiem nie ogarniesz – uchem nie uchwycisz – rozumem nie pojmiesz. Człowiek po prostu gubi się w morzu. Przedmioty nas otaczające mają pewną wielkość – morze przechodzi nasze pojęcie wielkości; inne przedmioty mają kształt – morze nie ma kształtu, inne przedmioty mają barwę – morze nie ma barwy, inne mają granice – morze nie ma granic – słowem: morze jakkolwiek jest czymś materialnym – wymyka się zarówno zmysłom, jak i umysłowi. Stąd pierwsze wrażenie jest jakby nieprzyjemne i przygniatające. Człowiek przymyka oczy i czuje się nicością. Powoli dopiero przyzwyczaja się do tego widoku i uczy się w nim orientować. Dziś już i ja przyzwyczaiłem się, ale pierwszego dnia przeszedłem całą tę falę wrażeń, o których wspomniałem. Teraz widzę morze takim, jakim jest obiektywnie, tj. nieskończoną, wiecznie rozkołysaną i wiecznie szumiącą płaszczyznę zielonawego, to żółtawego, to błękitnego, to wreszcie nieokreślonego koloru. Płaszczyzna ta ucieka w dal przed

okiem i zdaje się podnosić i formować jakby ogromne płaskowzgórze. Choćby ktoś stanął na najwyższym nawet brzegu, dal morza zdaje się zawsze być wyżej. Tak przedstawia się morze.

Na dydze wieje ciągle silny wiatr, którego nie czuć w głębi kraju. Wieje albo z morza, albo z lądu. Powierzchnia wód nigdy nie bywa gładką – stawy nasze, rzeki i jeziora tak czasem się uciszą i wygładzą, że zdają się spać. Wówczas to powierzchnia ich przedstawia się jak zwierciadło lub jak szyba szklana, w której przegląda się całe niebo, a w nocy księżyc i gwiazdy. Morze przeciwnie: w dnie burzliwe ryczy, huczy jak grzmot i wyje, ale w najcichszą nawet pogodę zawsze bałwani się, zawsze pieni groźnie i mruczy, rozbijając się z wściekłością o brzegi.

Piękny jest widok morza od strony portu. Tu i owdzie w oddali bielą się żagle, czasem widać słup dymu wznoszący się ku niebu – to statek parowy płynie z Douvru i za chwilę będzie już w porcie – coraz bliżej i bliżej; już można rozeznać komin i banderę; kołysze się na falach, czasem wspina się na szczyt bałwanu, tak że widać go niemal w całości, to znów pogrąży się w bruździe między falami, że tylko komin i maszty sterczą nad wodą. Zeszedłem z dygi na płaskie, piaszczyste wybrzeże. Była to chwila odpływu. Fale cofają się, zostawiając po sobie na piasku porosty, muszle, obrzydliwe kraby, obrzydliwsze jeszcze pająki i najobrzydliwsze ze wszystkiego galaretniki barwy zielonawej, niewiele różniącej się od wody. – Mnóstwo dzieci biega z rydelkami po mokrym jeszcze piasku; amatorowie wyszukują małych, czarnych muszelek, zwanych *moules,* i wyjadają ze środka ślimaki, jeszcze ociekające wodą morską. Fale ustępują coraz dalej, a w miarę, jak odkrywają coraz więcej dna, zaraz dzieci biorą je w posiadanie. Z dala widać w morzu wózki, a przed wózkami od strony morza mnóstwo kąpiących się kobiet, mężczyzn i dzieci w pstrych kostiumach. Kiedy bałwan przychodzi, nakrywa wszystkich jakby ogromną białą zasłoną i po chwili dopiero głowy na nowo pokazują się nad wodą. Na dydze mnóstwo spacerujących; tu wznosi się wspaniały kursal; pełno Anglików, Francuzów, Niemców, Amerykanów, Polaków, Moskali, Włochów i wszelkiego rodzaju obcokrajowców spaceruje tam i na powrót lub siedzi między szklanymi ścianami kursalu, spoglądając na morze przez perspektywy lub bawiąc się różnojęzyczną rozmową.

Patrzyłbym był na to wszystko Bóg wie, jak długo, gdyby nie to, że trzeba było wracać do miasta i szukać sobie mieszkania, bo w hotelu drogo kosztuje. Wróciłem więc i przy wejściu na rue de Flandre spotkałem znajomego, niejakiego p. Mateckiego z Warszawy, który bawił tu już od dni dziesięciu i znał miasto lepiej ode mnie. Z pomocą tegoż p. Mateckiego znalazłem mieszkanie, jak na tutejsze ceny bardzo niedrogie, bo za dwa franki na dobę, na rue de Flandre No 3. Jest to jeden pokoik, dość spory, ładnie umeblowany i idealnie czysty. Moja gospodyni, dość tłusta i dość przystojna Flamandka, nazywająca się poetycznie Espérance, zarazem

usługuje mi, czyszcząc rzeczy, obuwie itp. Kto by to u nas uwierzył, że córka właścicielki kamienicy, średnio wykształcona, ubierająca się tak jak wszystkie panie na świecie, nie wstydzi się usługiwać. Ha! co kraj to obyczaj! U nas inaczej! inaczej! inaczej! – W hotelu, w którym się zatrzymałem chwilowo (St Denis), zdarli mię bez miłosierdzia, ale teraz, gdy się już urządziłem, poznaję, że drożyzna, jakkolwiek znaczna, nie jest jeszcze tak wielka, jak mówią. Wydatki moje dzienne, oprócz opłaty za kursal i za kąpiele, oprócz kostiumu i płóciennych trzewików, są następujące: mieszkanie 2 franki, śniadanie 1 fr., obiad 3 fr. 50 centimów, kolacja 50 centimów, służbie 20 centimów, co na nasze pieniądze wynosi 14 złotych, zatem tyle prawie, ile wydaję w Warszawie. Kursal, kąpiele, kostium i inne nieodzowne przy kąpielach sprawunki kosztowały mnie drogo, bo około 70 franków.

Pierwsze dnie rozglądałem się na wszystkie strony. Odbyłem już podróż morską, trwającą dwie godziny na – jachcie spacerowym „Leopold II". Czas był spokojny, a chociaż statek kołysał się silnie, tylko kilka osób wypłaciło zwykłą daninę Neptunowi. Co do mnie, nie czułem nic i prawdopodobnie nic bym nie czuł, choćbyśmy jechali i dalej, bo nie wszystkie osoby doznają choroby morskiej. Pochlebiam sobie, że należę do tych szczęśliwych wyjątków. Po dwugodzinnej podróży Ostenda poczyna roztapiać się we mgle i niknąć z oczu. Zupełnie jednak, zwłaszcza dla dobrych oczu, nie ginie. Taka podróż jest to niewypowiedziana rozkosz i chętnie pojechałbym do Douvru, gdybym tylko znalazł dobre polskie towarzystwo. – Do Douvru jedzie się tylko kilka godzin – a kosztuje tam i na powrót koło 12 franków, czyli 24 złotych na nasze pieniądze. Z tym wszystkim nie wiem jeszcze, czy pojadę.

Drugiego dnia pobytu przetrząsłem port, pozawierałem znajomości z majtkami i rybakami, którzy wyjeżdżają na połów na orkach na kilka dni. Orki są to głębokie i szerokie, a prawie okrągłe statki z obszernym dnem, mogącym objąć masy ryb. Widziałem mnóstwo najrozmaitszych gatunków ryb w porcie. – Niektóre, zwłaszcza np. płaszczki i raje, mają prawdziwie potworne kształty – wszystkie zaś, zwłaszcza większe gatunki, mają formy mniej złożone, mniej symetryczne i mniej wyraźne niż nasze ryby. – Ugotowane są doskonałe, ale za życia pachną bardzo nieprzyjemnie. – Muszę też wyjeżdżając kupić sobie jakie pudełko i przywieźć na pokaz mojej Pani kilka krabów, które przedtem umyślnie każę wysuszyć na słońcu. Szkoda tylko, że przy brzegach nie ma wielkich, a na pełnym morzu nie łapią ich, bo do jedzenia niedobre. – W ogóle ryby morskie, tak jak i wszystkie żyjątka, są dosyć obrzydliwe, tak że wiele osób nie może znieść ich widoku. W porcie łapałem ryby na wielkie podrywki, których jest tu kilkadziesiąt – i ułowiłem kilka wcale znacznej wielkości, najwięcej jednak krabów, które wrzucają na powrót do wody. Z rybakami umówiłem się, że pojadę z nimi na połów – i prawdopodobnie zrobię to, bo jestem ciekawy, w jaki sposób tu łapią wielkie ryby na

pełnym morzu.

Na trzeci dzień (podróż moję opisuję jakby drugą *Odyseję)* odbyłem wycieczkę samotną, daleko brzegiem morskim. Ale – źle nazywam ją samotną, myślałem bowiem przez cały czas o mojej drogiej i ukochanej narzeczonej, tak więc odbyliśmy ją we dwoje. Nie mogę oderwać się od tej myśli, jakby nam tu było dobrze i rozkosznie we dwoje. – Ty wiesz, moja droga, ukochana Pani, że czczych słów nie umiem trwonić daremnie – ale czasem taka porywa mnie za Tobą tęsknota, że rady sobie dać nie umiem. – W takich chwilach za fotografię Twoją, za pierścionek Twoich drogich włosów oddałbym wszystko, co posiadam. –

Czwarty dzień jestem tutaj – obejrzałem wszystko, poznałem wszystko, przypatrzyłem się wszystkiemu – i znowu myślą biegnę przez całe setki mil, jakie dzielą mnie od Ciebie, i myślą wracam już i na powitanie całuję nogi Twoje. – Czwarty dzień jestem dopiero i mimo wszelkich ciekawości już mi tu nudno. – Gdybym to mógł spodziewać się jak najczęściej listów Pani! Jakżebym ich wyglądał zawsze z utęsknieniem, a odbierał z radością! Jeżeli Pani powie, że to przymówka o listy – powiem po prostu: – Tak jest! – to przymówka albo jeszcze inaczej: to prośba, której śmiem się spodziewać, że serce Pani nie pozwoli odmówić. –

Czy odebrała moja Pani list, który pisałem z Kolonii? Jeżeli tak jest, to proszę mi wybaczyć zarówno pośpiech tamtego, jak i długość tego listu. Piszę długo, bo robi mi to złudzenie, jakbym rozmawiał z Panią. – Rozmawiajmy więc, choć tak, jak najczęściej. – Przepraszam najmocniej za spóźnienie listu. Nic mi się nie stało; nie utopiłem się i nie piszę w tej chwili z dna morskiego, ale z rue de Flandre No 3. Kąpałem się już trzy razy. Jest to tak wyborna kąpiel, że rzeczna nie może dać o niej wyobrażenia. Utopić się tu nie można, choćby kto chciał. –

List spóźnił się z powodów wyjaśnionych przeze mnie na początku. Następny list, w którym będzie o wszystkim, co tylko ujrzę, usłyszę lub poznam, napiszę za parę dni. Adres mój, jeżeli nie poste restante, to rue de Flandre No 3. Jestem zdrów, ale niby zbity i osłabiony; jest to zwykły skutek kąpieli, które z początku osłabiają. – Jak zdrowie mojej ukochanej? Niech się oszczędza, niech na zbyt dzikich koniach nie jeździ i niech pamięta, że nie należy do siebie, ale i do mnie, i że stanowi dla mnie wszystko, co mam najdroższego na świecie.

Z równą czcią jak miłością całuję stopy Twoje, moja ukochana Pani – i żegnam Cię jak najprędszym do widzenia!!!

Henryk S.